OBRAZKI

z

KRÓLESTWA ZWIÉRZĄT

Z RÓŻNYCH CZĘŚCI ŚWIATA

dla nauki i rozrywki młodzieży

napisał

W. HOFFMANN,

na polski język przełożył

LEON ANTONOWICZ,
dyrektor etatowéj szkoły pięcioklasowéj.

Z 6 kolorowanymi stalorytami.

KSIĘGOZBIÓR MYŚLIWSKI Polski Związek Łowiecki BIBLIOTEKA Nr.

W BRODACH.
Nakładem i drukiem księgarni J. Rosenheima 1876.



Polowanie na białe niedźwiedzie w morzach lodowatych. Do powieści „w zwierzyńcu w Paryżu.“

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
BIBLIOTEKA
Nr. 2226

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
Nr. ~~2654~~ 2226.

Hoft
Obre

148 I 69
95 4
243 K72 h

I. W zwiérzyńcu paryskim.

W Paryżu, stołecznem mieście Francyi, mieszkał pan Rollinat, który dwoje miał dzieci: dziesięcioletniego syna, imieniem Oktaw i dwunastoletnią córkę, imieniem Kazimira. Ponieważ te dzieci były grzeczne i uczyły się pilnie, więc ojciec zwykle co niedzieli i święta chodził z niemi na przechadzkę.

Jednego razu prosiły dzieci ojca, by poszedł z niemi do zwierzyńca, który nie tylko dla samego miasta Paryża, ale i dla świata całego jest jedną z największych osobliwości, bo w nim przechowują się najrozmaitsze zwiérzęta obce z całéj kuli ziemskiéj, co to z nich niektóre tylko i to czasami widzieć można w menażeryi, a najczęściéj tylko w książkach namalowane. Ten zwierzyniec leży w południowéj stronie miasta, niedaleko rzéki Sekwany, płynącéj przez miasto. Jest to właściwie ogród na wielkie rozmiary, dla dogodności zwiedzających poprzerzynany tysiącznemi drogami, pozasadzany najwyszukańszemi drzewami i krzewami, dlatego nawet Francuzi nazywają go ogrodem roślin. (Jardin des Plantes). Przytém jest on podzielony na setki małych to okrągłych to podługowatych ogródków, z których każdy z osobna jest żelaznymi lub drewnianymi otoczony sztachetami, i zawiéra w samym środku budynek wystawiony z drzewa po największéj części w stylu gotyckim lub maurytańskim; tylko dla zwiérząt drapieżnych są domki murowane z kamienia i żelaznemi zaopatrzone kratami. Latem przechadzają się w tych ogródkach wszystkie zwiérzęta całkiem swobodnie.

Otóż tu gdy przyszedł pan Rollinat z dziećmi, zaraz na wstępie do ogrodu spostrzegli olbrzymią z grubych prętów żelaznych zrobioną klatkę okrągłą, którą setkami wspólnie zamieszkują małpy.

Dzieci nie mogły dość napatrzyć się figlom, jakie one tam wyprawiały. — Kiedy tak ciekawie różnym zwiérząt rodzajom się przypatrując, coraz daléj postępowali, zwrócili nagle swą uwagę na miejsce drzewami ocienione, na którém się znachodziła wielka, głęboka, czworoboczna sadzawka, napełniona wodą. Wewnątrz na spodzie i po bokach jest ona ciosowym wyłożona kamieniem, a zewnątrz szerokim otoczona murem, na którym umieszczono żelazne poręcze w ten sposób, że przez

nie widzieć można wszystko, co się w głębokiéj znajduje sadzawce. Jestto mieszkanie białego niedźwiedzia. W samym zaś środku téj wielkiéj sadzawki jest wodotrysk, który do niéj nieustannie świéżéj dostarcza wody.

Z wielką radością przypatrywali się wszyscy troje białemu niedźwiedziowi, który się pluskał w sadzawce i tak sobie swoję osładzał niewolę. Był on wtedy właśnie pod wodotryskiem i ciągle się zanurzał, to znowu na wiérzch wypływał. Czasem na chwilę nastawiał głowę pod chłodzący go wodotrysk, to znowu potém się zanurzał, igrając oraz z kilkoma dużymi kawałami szmat, które mu tam umyślnie dla zabawki rzucano, w ten sposób, że gdy one tonęły, on je znowu na wiérzch wynosił.

»Mnie się zdaje« przemówił Oktawek do ojca, »że biały niedźwiedź nie jest tak dzikiém i srogiém zwiérzęciem, jak ja to o nim czytałem w książce.«

»Istotnie nie zawsze objawia się srogim,« odpowiedział ojciec. »Ja sam miałem wypadek w życiu, gdzie tego doświadczyłem. O tém nie zapomnę nigdy.«

»A dlaczego trzymają go we wodzie?« zapytała się ojca Kazia.

»On lubi zimno,« odrzekł ojciec, »ponieważ jego miejscem rodzinném są kraje leżące około bieguna północnego; a że on doskonale umié pływać, ztąd przebywa często i w północném morzu lodowatém, w którém on szuka sobie pożywienia. Mianowicie łapie ryby, psy morskie i inne zwiérzęta wodne, lub nieżywe wyszukuje wieloryby. Często napada też i na ludzi, albowiem ciało ludzkie jest jego ulubionym pokarmem. Że jest sroższym niż szary niedźwiedź, w naszych żyjący lasach, to pewna; nawet jest on i niebezpieczniejszym, bo jest nierównie większym, niż ten tu w zwierzyńcu, który jeszcze jest młody. On bywa często tak wielki jak wół«

»Piękne zwiérzę,« zauważała Kazimira, »jaki jego włos długi, kudłaty, miękki i wełnisty, wargi czerwone jak krew, głowa spiczasta, a jaki on zwinny! Ale nie słyszałam jeszcze głosu jego!«

»On nie mruczy, jak niedźwiedź szary,« odrzekł ojciec, »tylko szczeka jak pies. Jego futro gęste przydaje mu się bardzo; w zimie bowiem zniewolony jest robić sobie legowisko swoje pod śniegiem.«

»Napomknąłeś przedtém, ojcze,« zaczął teraz mówić Oktawek, »że ci się raz widzieć zdarzyło niedźwiedzia białego, który łagodniejszym i czulszym się objawił zwiérzęciem, niż to jest w mojéj opisano książce. Proszę, opowiédz nam o tém.«

»Dobrze,« odrzekł ojciec, »ale nie tu! Chodźmy na drugą stronę i usiądźmy sobie na ławeczce w cieniu drzew! Tam nikt nam nie przeszkodzi i nie będzie nas tak piekło słońce.«

Poszli zaraz i usiedli sobie wygodnie, a dzieci z ciekawością zwróciły oczy na ojca.

»Byłem niegdyś kapitanem okrętowym,« począł opowiadać ojciec, »i wiele odbywałem podróży po morzu biegunowém.

gdzie dotąd jeszcze mam dwa własne okręty zatrudnione koło połowu wielorybów. Piérwszy raz doświadczyłem tego, co wam powiedziałem, w mojéj piérwszéj podróży do wyspy Islandyi. Ten kraj wulkaniczny, o 120 mil od Norwegii oddalony a należący do państwa duńskiego, ma tylko na wybrzeżach piękne doliny zielone. Wewnątrz tego kraju jest puszcza straszliwa, której po części jeszcze ludzka nie dotknęła się noga. Całe niezmierzone ziemi przestrzenie pokryte lawą i skałami, a roślinności niema tam śladu. Miejscami leży tam śnieg i lód na ziemi przepalonéj. Tu widzieć można wielkie z gorącéj siarki równiny, tam góry z popiołu wulkanicznego, pomiędzy któremi bystre szumią potoki górskie, ówdzie rozpadliny skaliste, nieprzystępne groty i bagna, gdzieindziéj znowu ogniste i wodne wulkany, jako też źródła gorące. Tylko północną i zachodnią część kraju zamieszkuje około 60.000 tysięcy mieszkańców, niemieckiego pochodzenia.«

»Czy tam są i niedźwiedzie białe?« zapytała się Kazia.

»Nie,« odpowiedział ojciec,« tam ich niema; ale niedźwiedź biały puszcza się za swoją zdobyczą także na wielkich krach lodowych, które wiecznie pływają po morzu lodowatém. Na wiosnę więc, gdy lód popęka, zdarza się często, że on spiący na takiéj krze lodowéj, zapędzony bywa aż na wybrzeże Islandyi lub Norwegii. Naturalnie jest on wtedy bardzo głodny i napada na wszystko, co mu tylko wejdzie w drogę; nie dziw nawet, że on wtedy i do stajen i do mieszkań ludzkich zagląda. — Gdym bawił w Rejkiawik, mieście stołecznem, położoném na południowo-zachodniém wybrzeżu, opowiadał mi pewien człowiek, który już sam dziewiętnaście zabił białych niedźwiedzi, co się były na krach dostały aż do Islandyi, że jednego razu w czasie ostréj zimy jego własne cztéroletnie dziécię pewnego poranku zastało wielkiego niedźwiedzia białego, na dachu leżącego!«

»Jak to być mogło?« zapytał się Oktaw.

»W Islandyi są domy po wsiach zbudowane z torfu,« opowiadał ojciec daléj, »i wyglądają jak małe czworograniaste kopce z ziemi, które u góry są dosyć płaskie i w zimie często całkiem zasypane śniegiem. Na takim więc domu leżał niedźwiedź. Dziécię, które jeszcze nigdy nie widziało białego niedźwiedzia, myślało, że to biała krowa, usiadło bez obawy obok niego i głaskało go po głowie, a niedźwiedź mu nic złego nie zrobił. Ale rozumié się, że nie był wtedy głodny, bo dopiéro co poprzedniéj nocy porwał był kozę i ją całą zeżarł.«

»Osobliwsze zdarzenie miałem na wybrzeżu Grenlandyi, gdzie jest właściwe miejsce pobytu białego niedźwiedzia. W czasie mojéj czwartéj do morza biegunowego podróży, przybyliśmy w październiku do zatoki, leżącéj pomiędzy stałym lądem a małą wysepką, któréj to zatoce nadano nazwę »przystań Wiktoryi.« Tam niespodziewanie prędko zamarzł nasz okręt, i byliśmy zniewoleni w tém smutném położeniu przepędzić całą zimę, otoczeni pustą, szklącą się płaszczyzną lodowatą i wysokiemi górami lodowatemi. Pobyt nasz był tam straszny w obec bardzo srogiéj zimy, chociaż na naszym z lin i

1489
82
145

innych przyborów obranym okręcie żywności mieliśmy podostatkiem. Nasi strzelcy, Grenlandczycy rodem, którzy z nami mieszkali, wychodzili od czasu do czasu na polowanie, a nieraz udawało im się szczęśliwie ubić białego niedźwiedzia, co nam się bardzo przydało, gdyż mięso z niego jest soczyste i smaczne, szczególnie udo. Tylko wątroba jego jest zabójczą trucizną, i były wypadki, iż żeglarze niektórzy przez nieświadomość lub nieostrożność spożywszy takową, ciężko zachorowali lub nawet i z téj przyczyny życia dokonali. Nasi strzelcy i majtkowie natrafiali szczęśliwie na niedźwiedzi wtedy, gdy przepływały z jednej kry na drugą i mogli je łatwo pokonać, bo niedźwiedzie nie mogą zanurzone długo w wodzie zostawać. Gdy zaś zdybie się niedźwiedzia na brzegu lub na wielkiéj śniegiem pokrytéj płaszczyźnie, po któréj one dwa razy tak prędko biegną, jak człowiek, zapadający w śniegu co krok aż po kolana; wtedy polowanie na niego jest trudne i niebezpieczne.«

»Już nam było sześć miesięcy minęło w téj przystani, gdy morze gdzieniegdzie zaczynało tajéć. Uporządkowaliśmy liny i żagle naszego okrętu w nadziei, że zostanie w krótce oswobodzony z lodów, gdy pewnego dnia zbliżył się do nas biały niedźwiedź, którego majtkowie już przed kilkoma dostrzegli byli dniami w bliskości okrętu. Właśnie byliśmy wszyscy przy obiedzie, który się składał z ugotowanych ryb morskich świéżo złapanych i z pieczonego psa morskiego, gdy chłopiec, odbywający straż na pokładzie, spostrzegł zbliżającego się niedźwiedzia, którego zwabiły szczątki mięsa wyrzuconego i zapach pieczeni, co go dochodził; bo niedźwiedź biały ma bardzo ostry węch i zwietrzy nieżywego wieloryba na trzy i cztery mile. Gdyby chłopiec, którego już nieraz surowo karciłem za zbytnią śmiałość jego, był się cokolwiek zastanowił, to byłby mógł zauważyć, że zbliżające się zwiérzę jest niedźwiedzicą, że w niejakiém oddaleniu za wysoką krą spiczastą leżały jéj młode, i do tego jeszcze niedźwiedź także za krą czyhał przy młodych. Niedźwiedzica wyszła widocznie, aby cokolwiek karmu poszukać dla młodych, bo one wielką troskliwością otaczają swoje młode, nawet pośród śniegów i lodów nie ostyga ich serce dla nich. Ale nasz lekkomyślny chłopiec tego wszystkiego nie widział. Cóż on więc uczynił? Gdy niedźwiedzica się zbliżyła, skoczył zaraz zapamiętale z oczczepem*) na lód, by ją zabić. Ona stanęła na przeciw niego, zgrzytając zębami. Chłopiec chciał pchnąć żelaziwo w jéj otwartą paszczę, lecz chybił. Niedźwiedzica porwała żelazo, złamała je łapami natychmiast na dwoje, rzuciła się na odwracającego się chłopca, który jeszcze tylko w ucieczce mógł znaleść ocalenie, złapała go zębami za kołnierz jego kaftana, i ku swoim powlokła go młodym.«

»Na szczęście kucharz przez otwór w okręcie na to całe patrzał zajście; a gdy mu się przy końcu tak straszny przedstawił widok, narobił hałasu. Wnet wypadło na lód pięciu z naszych ludzi najodważniejszych, uzbrojonych bronią palną, dzidami i siekiérami i puścili się w najszybszym pędzie za niedźwiedzicą. Jeden z nich wystrzelił i w lewą tylną ugodził ją

*) Także harpuną zwany, bywa używany do połowu wielorybów.

nogę, właśnie gdy już niedaleko była swych młodych. Wtedy obróciła się niedźwiedzica, omdlałego chłopca położyła pomiędzy swe przednie łapy i stanęła do obrony. W ten sposób łatwo przez pięciu ludzi mogła była być pokonaną. Ale tymczasem całe to zajście stało się o wiele groźniejszém i niebezpieczniejszém. Ponieważ niedźwiedzie w niebezpieczeństwie wzajemnie sobie pomagają, więc i w tym razie niedźwiedź natychmiast przyskoczył i rzucił się na majtków, podczas gdy ku brzegowi lodu nadpływały na pomoc walczącym trzy inne niedźwiedzie. W zaciekłym zapale wysunął się zanadto piérwszy niedźwiedź i wnet od jednego z naszych strzelców grenlandzkich powalony strzałem na ziemię, tarzał się we krwi swojéj. Teraz niedźwiedzica wyszczerzyła pełna wściekłości zęby, jakby chciała grozić, że swéj nie puści zdobyczy. Gdy więc trzech strzelców gotowało się do walki z nadpływającymi niedźwiedziami, nacierali dwaj, co stali na przodzie, na rozjuszoną niedźwiedzicę, jeden ze strzelbą, drugi z siekiérą do góry podniesioną. W końcu zerwała się ona, porzuciła na lodzie porwanego chłopca, który zdawał się już być bez życia, i uciekła za krę lodową, gdzie leżały jéj młode. Tymczasem z innymi ludźmi także nadbiegłemi trzy niedźwiedzie, wyłażące właśnie na lód, pozabijaliśmy wnet z broni palnéj. Dwaj strzelce, co odpędzili niedźwiedzicę, usiłowali do życia przywołać chłopca, leżącego na lodzie. Gdy im to pozornie się nie udawało, pospieszyli za niedźwiedzicą, a ja téż za nimi pobiegłem; chciałem bowiem im nakazać, by biédnemu dali już spokój zwiérzęciu. Lecz przybyłem zapóźno. Właśnie gdy się do nich zbliżałem, strzelali już na młode, któremi matka troskliwie się zajmywała, chociaż z niéj saméj krew się lała jeszcze od piérwéj otrzymanéj rany. Oboje młode były śmiertelnie zranione, a ona sama została powtórnie postrzeloną. Na własne nie zważając cierpienia, przypadła do swych dzieci, brodzących we krwi i jęczała i skomliła tak żałośnie, że człowiekowi mało serce z żalu nie pękło, jeżeli on szorstkim nie był Grenlandczykiem. Biédna matka, zaledwie już mogła utrzymać się na nogach, a przecież poszła jeszcze do jamy wyżłobionéj w lodzie, wyciągnęła kawał ryby, który ona była tam przechowała, chwiejąc się na nogach przyniosła go młodym, na drobne porozrywała kawałki i pokładła je przed niemi, aby jadły, na srogich nie zważając już strzelców. Gdy zaś zakrwawiona matka widziała, że one nie jadły, wyciągała swe łapy to do jednego to do drugiego, pieściła oboje i starała się je podnieść do góry. Lecz skoro jéj dzieci strętwiałe upadały na ziemię, i nie zważały na pieszczoty matki, tedy wyprostowała się niedźwiedzica strapiona i żałośnie zawyła, a tak straszliwie, że odgłos zgrozą przejmujący rozległ się daleko po polach lodowatych. Z największém wytężeniem wlokła kilka kroków swe młode i oglądała się, czy one za nią nie pójdą. Lecz gdy one ciągle przewrócone leżały, zwróciła się znowu, obwąchywała je, lizała je i opatrywała je ze wszech stron z najczulszą troskliwością, jęcząc i skomląc nieustannie. W końcu, gdy dostrzegła, że one już były martwe, podniosła głowę, spojrzała groźno ku nam i okrętowi, z wściekłości i rozpaczy zaryczała i rzuciła się na oślep w dzikim pędzie na nas sześciu, podczas gdy dwóch zajętych było cuceniem omdlałego chłopca, który powoli do siebie przychodzić zaczął.«

»Nie mogłem dłużéj patrzeć na straszną biédnéj matki boleść. Rozkazałem więc: Niech jéj cierpieniom już raz koniec będzie! sam zaś odwróciłem się i twarz rękoma zasłoniłem. Padło trzy strzały i od nich legła na lodzie ciężko dotknięta matka. Jéj ostatnie spojrzenie miało być na dzieci zwrócone.«

Ojciec skończył mówić i zabiérając się do odejścia, powstał z ławeczki. Dzieci zaś opuszczając zwierzyniec, wracały w milczeniu do domu, rzewnemi miotane uczuciami.

II. Fatalny zakład.

»Janku! ty swojém niesforném, szaloném zachowaniem się sprawiasz mi nieustannie wiele zgryzoty!« rzekł do swego piętnastoletniego syna pewien mąż z najuboższéj warstwy ludu w Marsylii, południowém mieście Francyi, mieszkający nędznie w dolnéj części domu, znacznie niżéj leżącéj, niż bruk uliczny. »Odkąd matka umarła, muszę ciężko zarabiać na chléb, trudniąc się zamiataniem ulic, a ty się wałęsasz i nie chcesz mnie wspiérać w robocie, podczas gdy mój zarobek wystarcza zaledwie na suchy kawałek chleba. Gdybyś ty mi pomagał, to mógłbym mieć dwa razy tyle dochodu, ile mam dziś.«

»Nie,« odpowiedział żywo Jan Dormil, chłopak żwawy i czerstwy, ogorzałego lica i iskrzących się oczu, »ulic zamiatać nie będę! Raczéj z głodu zginę!«

»Tak, tak,« zawołał ojciec ze złością. »Ty jesteś uparty, jak to była twoja dobra matka, bo jesteś nawet z twarzy podobny. Ale ona z tém niedaleko zaszła, i tobie tak samo się powiedzie; jesteś ladaco!«

Janek zarumieniony po uszy, zerwał się i wybiegł z izdebki. »Dokąd znowu?« zawołał ojciec za nim; ale Janek nic nie do niéj odpowiedział; tylko stare, zbutwiałe drzwi skrzypiąc za nim się zatrzasnęły.

»Przyjdzie on nazad!« pomyślał sobie stary Dormil. Ale Janek już nie wrócił. Dopiéro po cztérnastu dniach odszukał go ojciec i dowiedział się, że on przyjął już obowiązek stajennego u najpiérwszego towarzystwa jeźdźców w Marsylii.

»Czy ty pójdziesz ze mną, czy nie, wyrodny chłopcze?« zapytał się go stary Dormil z największém uniesieniem.

»Nie!« odpowiedział Janek. »Ulic zamiatać nie będę. Do innego zatrudnienia nie zdołasz mię usposobić. Dlaczegoż mam



Polowanie na lwy w Afryce. Do powieści „fatalny zakład."

195 x 98

1590

1453

D.1-10

w domu próżnować i darmo zjadać twój chléb. Te sztuki konne podobają się mnie i tu sobie zarobię na utrzymanie. Dajże mi święty spokój!«

I na tém stanęło. — W kilka lat późniéj, Janek już nie karmił, nie czyścił ani siodłał koni, ale jeździć uczył się na nich, ponieważ bardzo był zwinnym chłopakiem. W rok zaś potém występywał w cyrku publicznie i już można było osądzić, że jeźdźcem będzie doskonałym. Los jednak zrządził inaczéj. Został bowiem wzięty do wojska i do konnicy afrykańskiéj przeznaczony. Nim dwa minęło miesięcy, musiał opuścić Marsylię i z towarzyszami swymi udać się do Algieryi. Ten wypadek mniéj zasmucił naszego Janka, niż jego ojca, który teraz został osamotniony. Janek pomyślał sobie: »Będąc żołnierzem, mogę także być szczęśliwym, jeśli mię w Algieryi kulka nieprzyjacielska nie dosięgnie.« Pełen więc otuchy pożegnał brzegi Francyi.

Algierya jest krajem, który podbili Francuzi w roku 1830. Leży on na północném wybrzeżu Afryki i styka się na północnéj granicy swojéj z morzem śródziemném, a na południowéj z wielką pustynią piaszczystą, zwaną Sahara; na wschodniéj zaś i zachodniéj przytykają do niego kraje, zwane Tunis i Marokko. Tę ziemię rozmaite zamieszkują narody, jak: Francuzi, Niemcy, Hiszpani, Włosi i Żydzi, prócz tego także Arabowie, Kabylowie, Maurowie i Turcy, którzy wyznają religię mahometańską. Jest tu około trzech milionów dusz ludności. Kraj ten jest miejscami urodzajny, miejscami zaś są tam obszerne puszcze piaszczyste i kamieniste, a klimat ma gorący, gdzieniegdzie bardzo niezdrowy. Tam lasy palmowe i cedrowe zamieszkują najniebezpieczniejsze zwiérzęta dzikie, a często także tam się można spotkać ze szczepami koczujących narodów nader wojowniczych.

Cały rok mieszkał Jan Dormil w stolicy Algieryi. Miasto to założone zostało przez Jussufa Zeiri, leży na stokach góry, na któréj szczycie wznosi się Kassaubah, to jest zamek cesarski, wybudowany jeszcze przez cesarza Karola V. a późniejsza rezydencya Deja Algieryi. Liczy 104.000 mieszkańców, między tymi 70000 Europejczyków. Widzieć tam można 60 meczetów, trzy kościoły katolickie, jeden protestancki, klasztor sióstr miłosierdzia, gimnazyum, bibliotekę, 60 łazienek i liczne bazary, a wszystko to prawie same dzieła oświaty francuzkiéj.

Po roku został Jan Dormil przeniesiony do fortecy Oran.

Tu mieszkał bogaty Maur, właściciel rozległych posiadłości ziemskich na oazie Wad Nir, oddalonéj o 60 mil od Algieru i leżącéj w pustyni. Ten Maur, poznawszy Jana Dormil, tak go polubił, że go często do swego zapraszał domu, w którym tylko wyżsi bywali oficerowie. Jan Dormil zaś dotąd dopiéro rangi sierżanta dostąpił.

Gdy pewnego dnia w letniéj porze Jan Dormil znowu w liczniejszém był towarzystwie w domu bogatego Maura, zapraszał tenże swoich przyjaciół na wielkie polowanie na lwy, które w swoich posiadłościach na oazie Wad Nir zamierza wyprawić w następującym tygodniu. »Na tém polowaniu szczególnie jednego lwa będę miał na oku,« rzekł Maur, »który broi

już od trzech lat i ogromne wyrządza szkody, a od nikogo jeszcze nie mógł być zabity. Dałbym 5000 franków temu, ktoby moje majętności od tego ciężkiego uwolnił wroga.

Jan Dormil jako jeździec doskonały i zaufany w swojéj sprytności bez namysłu oświadczył swoję do tego gotowość, a Maur przyjął jego usługę. Dwóch właśnie obecnych oficerów francuzkich uśmiéchało się tylko, widząc tę śmiałość swego sierżanta.

»Jeżeli Panowie sądzicie, że ja się na bardzo wielkie odważyłem dzieło,« rzekł Jan Dormil, »to załóżcie się ze mną.«

»Dobrze! zakładam się o 2000 franków, że pan lwa tego nie zabijesz!« zawołał jeden z tych oficerów.

»A ja także o 2000 franków założę się z Panem, że on lwa ubije, jeżeli Panu się podoba,« rzekł Maur do drugiego oficera. Poszło więc o podwójny zakład.

Jan Dormil prosił o uwolnienie od służby na kilka dni i dano mu je; sam bowiem pułkownik zajmował się bardzo tym zakładem, ponieważ już od tak dawna wszyscy głośno mówili o tym lwie straszliwym, a do tego polowanie na lwy jest zawsze bardzo zajmujące.

Albowiem lew, król zwiérząt, żyjący w Afryce i w cieplejszych okolicach Azyi, jest najsilniejszém, najśmielszém i najstraszniejszém ze wszystkich stworzeń. Jest on 8 do 9 stóp długi, a 4 do 5 stóp wysoki, ma wielką głowę, z przodu spłaszczoną, wielkie ogniste oczy, straszną paszczę, na 4 stopy długi, kosmykiem włosów zakończony ogon, i kudłatą grzywę, którą w gniewie najéża i nią potrząsa. Cała powierzchowność jego jest pełna majestatycznéj powagi, a chód ma powolny. Ryk jego jest tak straszliwy, że ziemia drży od niego, a wszystkie zwiérzęta, znajdujące się wtedy w pobliżu, taką są przejęci trwogą śmiertelną, że bezwładnieją i niezdolne stają się do ucieczki. On też ściga tylko większe zwiérzęta, wychodzi nocą na łup, czyha w zasadzce, wyskakuje nagle, porywa swą ofiarę i ją rozszarpuje. Zwiérzętom, jak słoń, nosorożec, hipopotam (koń rzeczny) i tygrys, nie zawsze sprosta. Człowieka napada tylko gdy bardzo jest głodny. — Zresztą jest lew co do swego charakteru szlachetném i wdzięczném zwiérzęciem; mamy liczne przykłady jego umiarkowania, wspaniałomyślności, wierności i wdzięczności. Opisać się nieda, z jaką lwica dla swych młodych jest przychylnością; okazała się na przykład bardzo wdzięczną względem jednego majtka, za to, że ściął drzewo, na którem siedziała małpa Orangutan, co jéj była dwoje młodych porwała. Dawno znana jest powieść ze starożytnych czasów o Androklesie, któremu lew dziwną okazał wdzięczność i przychylność, jako też o lwie i małym pudlu, któremu w muzeum paryskiém lew nietylko wspaniałomyślnie życie darował, ale go do swéj przyjął klatki, z nim się łagodnie i mile obchodził, a gdy zdechł, żal po nim wielki objawiał. We Florencyi był także wypadek, że lew wyłamał się z klatki i przez bezludne biegnąc miejsce, pojmał wprawdzie dziécię, ale mu nic złego nie zrobił; a gdy matka w rozpaczy przyskoczyła i je wydarła z jego paszczy, on nie tknął się nawet matki odważnéj.

Młode złapane lwy oswajają się łatwo i dają się usposobić do polowania, nawet i do pociągu. W dawnych czasach zaprzęg je Rzymianie do swych wozów tryumfalnych, a greccy bohaterowie odziewali się w lwie skóry.

Ale lew zawsze lwem pozostanie. Mięso z wielbłądów i małp jest najulubieńszém jego pożywieniem. Dlatego też Afrykan polują na niego i na jego młode z bronią palną, albo łapią je podstępem w umyślnie na ten cel wykopanych jamach, któ z wiérzchu przykrywają chrustem i trzciną, a wewnątrz na spodzie umieszczają na zwabienie jagnię albo młode koźlę. G już raz jest pojmany, traci odwagę, da się łatwo spętać i można mu już założyć kaganiec. Wtedy albo zabijają go i jed mięso z niego, albo sprzedają go żywego za wysoką zwykle cenę.

W oznaczonym czasie wyruszył Maur ze swymi przyjaciółmi do oazy Wad Nir. Po trzech dniach przybyli tamże, a j czwartego dnia miało się rozpocząć polowanie, na które Maur dostarczył rumaków arabskich.

Wyruszyli o świcie, dążąc ku bagnistéj, wysoką trzciną zarosłéj okolicy niedaleko drogi, którędy przechodziły karawan Zaledwie odważni myśliwi, pomiędzy którymi byli także owi dwaj oficerowie, ujechali dwie mile, gdy dobrze wyuczone ps które wzięli strzelcy ze sobą, zwietrzyły lwa w zaroślu, które Maur już naprzód wskazał jako zwykłe miejsce jego pobyt Puszczono więc psy i poczyniono przygotowania do walki. W krótkim czasie usłyszeli głośne szczekanie, potém ryk str szliwy, i oto wyskoczył lew. Wnet popędził ku niemu Jan Dormil, podczas gdy Maur ze swymi towarzyszami w tyle uboczu pozostali. Jan Dormil zmierzył się, wypalił i zranił lwa w szyję. Lew atoli nie padł, tylko jednym skokiem rzuc się na niego, porwał przelęknionego i spinającego się konia Dormila za kark i obalił go na ziemię. Teraz ocaliła Jana Do mila tylko zręczność, którą nabył, będąc jeszcze w towarzystwie sztucznych jeźdźców. W okamgnieniu porzucił strzelb ukląkł na powalonym koniu, wydobył pałasz, pochwycił lwa za grzywę i przeszył go na wskróś, a psy dokonując reszt szarpały go ze wszech stron. W tej chwili przyskoczył także i Maur i wystrzelił do lwa z pistoletu, ale lew był już martw Ze zdziwieniem obaj przypatrywali się oficerowie temu czynowi śmiałemu swego sierżanta.

Ale kosztowało ich to dużo pieniędzy. Obaj przegrali zakład. Ciury z wielkiém uradowaniem włożyli lwa, tego ju od dawna niebezpiecznego wroga podróżnych, jadących drogą karawanową, na wielbląda i powieźli do oazy Wad Nir.

Ale któż był szczęśliwszym od Jana Dormila. Nietylko że przyszedł do wielkiéj sumy pieniędzy, lecz tym czynem śmi łym zjednał sobie także sławę piękną, jako młodzian pełen męztwa i odwagi.

Niedługo potém, został przeniesiony jako oficer do pułku stojącego załogą w Algierze.

Pewnego wieczora spotkał na ulicy żebraka. Gdy mu się bliżéj przypatrzył, poznał w nim swego ojca i sam dał m się także poznać. Głośno płacząc, rzucił się ubogi, schorzały człowiek w jego objęcia.

»Ależ dla Boga! zkąd się tu ojcze wziąłeś?« zapytał się Jan, przyszedłszy cokolwiek do siebie z pierwszego zdziwieni

»Wybrałem się za tobą, i od dwóch miesięcy szukałem cię nadaremnie w tém mieście,« odrzekł ojciec. »Nędza mnie wypędziła z Marsylii, i jeszcze tylko u ciebie chciałem szukać pomocy.«

»Chwała Bogu! teraz mogę dopomódz!« zawołał Jan Dormil. »Chodź ojcze mój drogi! zobaczysz, że twój nicpoń także wdzięcznym być umié. Po tych słowach poprosił bezsilnego biédaka, by się oparł na jego ramieniu, i tak zaprowadził go do domu gościnnego, gdzie go tymczasowo umieścił. W kilka dni potém kupił ojcu mały sklepik, gdzie on trudniąc się przemysłem, już odtąd przyszłość swą aż do końca życia miał zabezpieczoną.

III. Modlitwa nigdy nie zaszkodzi.

Rossyjski hrabia Gedimów przepędzał zwykle lato w swéj pięknéj posiadłości, leżącéj w północnéj Rossyi. Tam na niewielkim wzgórku wznosił się pyszny pałacyk otoczony parkiem okazałym. U stóp jego rozciągała się wieś wielka, o pięknych, regularnie zbudowanych domkach, w których poddani wesołe wiedli życie; gdyż hrabia dobrym był człowiekiem i nikomu nigdy przykrości wyrządzać nie lubiał.

Miał on dwóch synów. Jeden z nich, piękny mężczyzna, mający już dwadzieścia cztery lat, bawił zwykle w Petersburgu; służył bowiem w wojsku i był już oficerem. Nazywał się Fedor. Drugi imieniem Iwan, miał dopiéro lat dwanaście i zostawał jeszcze w domu; nawet teraz był z ojcem na wsi. Nie uczęszczał do szkół, bo miał swego własnego ochmistrza któren go uczył. Lecz dziś, a był to śliczny dzień jesienny, leżał Iwan w łóżku; był bowiem niezdrów. Przed kilkoma tygodniami uganiał po niezmiernie wielkim lesie, który się zaczynał niedaleko pałacu i wzdłuż się ciągnął prawie na kilka mil. Będąc zmęczonym, położył się w tym lesie na mchu i usnął. Naraz zbudziło go jakieś straszliwe mruczenie. Gdy się oglądnął spostrzegł brunatnego niedźwiedzia, który dreptał ku niemu. Zerwał się natychmiast i zaczął uciekać; lecz tylko tém się ocalić zdołał, że się rzucił w rzékę széroką, przez ten las płynącą. Ponieważ Iwan umiał doskonale pływać, więc umknął wprawdzie szczęśliwie; ale że był wtedy, gdy w rzékę się rzucił, mocno zgrzany, zatém tak przeziąbł, iż się febry nabawił. Od owego czasu więc zachorował; obecnie już prawie całkiem przyszedł do siebie, tylko mu jeszcze nie było wolno wstawać



Polowanie na niedźwiedzie w Rosyi. Do powieści „modlitwa nie zawadzi.“

z łóżka. Ojciec kazał ochmistrzowi, którego w różnych sprawach wysyłał do Petersburga, donieść o tém Fedorowi, oraz zaprosić go na polowanie na niedźwiedzie. Chciał już raz na nie porządnie zapolować, ponieważ niedźwiedzie w lesie rozmnożyły się tak dalece, że nawet w parku przytykającym do pałacu, gdzie znajdowało się także wiele pni pszczół, nie można było być od nich bezpiecznym. Szczególnie pragnął bardzo wytropić owego wielkiego, burego niedźwiedzia, co zagroził był życiu Iwana.

Młody hrabia Fedor bawił już od dwóch dni za urlopem w domu; jutro miało się odbyć polowanie na niedźwiedzie, a dziś jeszcze usiadł on przy łóżku Iwana i kazał sobie opowiedzieć jego przygodę z brunatnym niedźwiedziem.

»Gdybyś nie był tak zwinnym chłopakiem, Iwanie, nie byłbyś z tego zajścia wyszedł żywy!« rzecze Fedor. »Byłeś we wielkiém niebezpieczeństwie. Ależ dlaczegoż zapuściłeś się w las tak daleko?

»Dlaczego?« odrzekł Iwan, »ja sam nie wiém. Ot szedłem sobie, myśląc to o tém to o owém; a o niebezpieczeństwie ani mi się śniło! Nie wiedziałem także, że niedźwiedzie niekiedy i na ludzi napadają.«

»Czarne niedźwiedzie czynią to tylko wtedy,« powiedział Fedor, »gdy są bardzo głodne, ale brunatne, które są daleko większe, silniejsze i sroższe i do zwierząt mięsożernych należą, mogą woła albo konia powalić na ziemię jedném uderzeniem swéj potężnéj łapy. To też stwórca ich obdarzył doskonałymi zmysłami; one mają bardzo bystry wzrok, delikatny słuch, a węch tak ostry jak prawie żadne zwierzę; biegają prędko nietylko po równinie, ale i pod górę; spinają się po drzewach jak koty; pływają nawet po wodzie, co jednak tylko czynią w największéj potrzebie, inaczéj nie byłoby ci się udało ujść przed nim; niedźwiedź bowiem, co ciebie ścigał, zapewne był brunatny?«

»Tak jest, brunatny,« odrzekł Iwan, »już dość opasły; musi być srogiém zwierzęciem, ponieważ słyszałem go zgrzytającego zębami. Co też właściwie żrą niedźwiedzie?«

»Brunatne,« mówił daléj Fedor, »żywią się mięsem z koni, wołów, owiec, jeleni, sarn, a nawet czasami i ścierwem; ale mrówki, miód, pstrągi, poziomki, kasztany i winogrona, gdy tylko takowych dostać mogą, są ich najulubieńszém pożywieniem. Czarne żywią się prawie wyłącznie korzeniami, jagodami, dzikiemi owocami, dojrzałém zbożem i rybami. W lecie ciągną ku wzgórzom, dlatego mamy je tu w pobliżu; w jesieni idą za owocami w doliny. Brunatne zaś niedźwiedzie polują na zwierzęta, to czyhają na nie w zasadzce, napadają je z tyłu, wyskakują im na grzbiet, wbijają pazory swe głęboko w ich ciało, i rzucają niemi o ziemię albo duszą je.«

»Nieraz już słyszałem,« powiedział Iwan, »że niedźwiedzie na zimę zasypiają, jak świszcze, i tak otrętwiałe leżą przez cały czas zimowy.«

»Rzecz się tak niema,« zauważył Fedor, »tyle jest w tém prawdy, że istotnie przez całą zimę nieprzerwanie leżą spokojnie,

nic nie jedząc. W tym celu wygrzebują sobie jaskinie, wyścielając je mchem i liściami, kładą się tam, a dla przepędzenia czasu ssą swoje łapy.«

»Wtedy dobrze na nie polować!« odezwał się Iwan.

»Zapewne,« odrzekł Fedor, »gdyby tylko można wiedzieć, gdzie one leżą. Lecz nawet i wtenczas, gdy się ich zaniepokoi, zrywają się żwawo; zresztą są one wtedy bardzo chude, a pieczeń z nich nie smaczna.«

»Pfe! pieczeń!« zawołał Iwan, »któżby jadł mięso niedźwiedzie, co tak odrażającą ma woń!?«

»Przez kilka dni moczą to mięso we wodzie nim je pieką, a wtedy jest smaczne,« prawił Fedor daléj. »Nasi Moskale i Polacy chętnie je spożywają. Łopatka, ozór i głowa są wcale nie złe, a łapy uchodzą u wielkich panów za przysmaczek. Do tego koniecznie potrzeba polować na nie w jesieni, kiedy one są najtłuściejsze. W téj porze waży tęgi niedźwiedź kilka cetnarów. Ich tłuszcz jest biały, przyjemny i zdrowy; ze skóry jego wtedy mamy wyborne futro.«

»Ale Fedorze!« odezwał się znowu Iwan, »Powiédz mi teraz, jak wy to polowanie właściwie urządzicie? O ile ja wiém, są różne sposoby polowania na niedźwiedzie.«

»W istocie, mój kochany Iwanie,« odrzekł Fedor. »W Polsce, gdzie bardzo rozpowszechnione jest pszczelnictwo, pozostawiają włościanie często, aby nie trzymać pasieczników, pszczoły dziko latające w lesię, wyżłabiając im tylko we wielkich drzewach dziupła, w których pszczoły sobie budują komórki, i potém w takowe miód znoszą. Takie drzewa wyszukują niedźwiedzie. Lecz przebiegli włościanie przywiązują mocno do gałęzi nad otworem, przeznaczonym do wlatywania i wylatywania pszczół, ciężką kłodę, która właśnie nad otworem wisi, zostawując tylko tyle przestrzeni wolnéj, aby pszczoły swobodnie wlatywać i wylatywać mogły. Skoro więc bartnik podlézie do otworu, by miód wylizać, to nie może jego dostać ani łapą ani pyskiem, bo mu kłoda zawadza. W gniewie odtrąca łapą tę kłodę, ale ona spada nazad i uderza go po głowie. Teraz niedźwiedź staje się wściekły, i silniéj odtrąca kłodę, która go tém mocniéj wali po czaszce; i tak głupie zwiérzę ciągle to powtarza, aż go w końcu uderzenia kłody oszołomią, i ono spada z drzewa. W ziemi zaś tkwią spiczaste pale, które włościanie powbijali; na nie więc niedźwiedź spada i nimi się przebija. Tym sposobem łatwo dostaje się go nieżywego. W innych okolicach nastawiają na nie miód z wódką zmięszany; gdy one to chciwie zjedzą, zawróci im się głowa, i z łatwością je wtedy zabić można. Tatarzy i Baszkirowie w naszych górach uralskich wbijają w pnie drzew, które dzikie pszczoły zamieszkują, wiele noży i siérpów do góry zakrzywionych. Przy włażeniu na drzewo unika ostrożny niedźwiedź tych noży, ale przy zsuwaniu się na dół wpada na nie i kaléczy się tak straszliwie, że rzadko kiedy potém z życiem uchodzi. Inni włościanie przytwierdzają do takich pni samostrzały. Te są tak urządzone, że niedźwiedź przy włażeniu na drzewo musi pociągnąć za sznurek, który jest w połączeniu z nabitą bronią palną tak skierowaną, że skoro ona

wystrzeli, niedźwiedzia trafić musi. Najosobliwiéj łapią go nasi kmiotkowie. Ci przywiązują do otworu pnia wielką, czworograniastą deskę, a to w ten sposób, jak gdyby to była huśtawka wisząca na silnéj, zgiętéj gałęzi. Skoro więc na téj desce usiędzie bartnik, urywa się sznurek, którym ona była do drzewa przymocowana, przezco unosi się szybko gałęź w górę i porywa z sobą deskę z niedźwiedziem. Teraz Misio siedzi wysoko i ztamtąd ruszyć się nie może, chyba że skoczy na dół i wbije się na ponastawiane na niego pale spiczaste.«

»A to ślicznie!« zawołał Iwan. »Azatém pożądliwość miodu przyprawia go często o jego zgubę!

»Zapewne! jak każda zła żądza wiedzie człowieka do upadku!« rzekł Fedor. »Nasi ludzie w Syberyi łapią go jeszcze na inny sposób. Oto kładą ciężką kłodę na górze i przymocowują do niéj wiele sideł z grubego sznurka. To się robi zwykle na drodze, którędy niedźwiedź często przechodzi. Gdy niedźwiedź poczuje na szyi sidła i spostrzeże, że kłoda go zatrzymuje, strąca ją z góry. Ta lecąc porywa głupiego za sobą i dusi go. Kamtszadale w końcu kładą mu w drogę deskę nabitą ostrymi, mocnymi gwoździami, w którą gdy nogę wbije, to jéj już wyciągnąć nie może, bo gwoździe mają odwrócone haki.«

»Ach to szkaradnie!« zawołał Iwan.

»To i ja mówię,« prawił Fedor daléj. »Najpiękniejsze polowanie jest to, co my wyprawimy. Powsiadamy tęgo uzbrojeni na koń, wyszukamy i uszczujemy go naszymi psami, i potykamy się z nim oko w oko, a silniejszy zwycięża. To jest walka uczciwa!«

»Ale i niebezpieczna, nie prawdaż?« zapytał Iwan.

»Pewnie,« odrzekł Fedor, »albowiem jeżeli go strzelec śmiertelnie nie zrani, to rzuca się on na niego pełen wściekłości i rozdziéra go na drobne kawałki.«

»Ach, jabym chciał być jutro także na tém polowaniu!« odezwał się Iwan.

»Ty?« zawołał Fedor, »ty jeszcze nie umiész tak dobrze jeździć na koniu.

»O,« powiedział Iwan, »na moim kucyku potrafiłbym już szybko uciekać, gdyby tego było potrzeba!«

»Nie Iwanie! Ja ci powiém coś lepszego,« powiedział Fedor. »Oto, pięknie, porządnie zostań sobie w łóżku, i módl się za nas, aby nas chronił od nieszczęścia Bóg wielki. To polowanie bowiem wynikło z koniecznéj potrzeby, i spodziéwam się, że my tego niedźwiedzia burego dostaniemy, co tak był zapragnął krwi twojéj.«

»O! szczérze modlić się będę!« upewniał Iwan. »A gdy położysz niedźwiedzia, to napiszę epopeję o tobie Fedorze!«

Długo rozmawiali jeszcze nie o jedném bracia ze sobą; potém odszedł Fedor, aby poczynić potrzebne przygotowania do niebezpiecznego polowania, mającego się odbyć następnego dnia.

Istotnie, jeszcze przed wschodem słońca zebrali się myśliwi, mianowicie, hrabia Gedimów, jego syn Fedor, jeden szlachcic

ze sąsiedztwa i pięciu leśniczych w bliskości parowu, w którym istotnie psy wygnały tego samego niedźwiedzia burego, co zagroził był życiu Iwana. Była to bowiem ta sama okolica, w któréj Iwan był ścigany od niedźwiedzia. Nie troszcząc się wcale o psy, co go prześladowały, niedźwiedzisko miał zamiar dostać się do wąwozu, który był dla koni niedostępny. Dlatego poskoczył na koniu młody hrabia Fedor, aby mu drogę zagrodzić, nawołując drugich, żeby za nim przybyli. Gdy właśnie się zatrzymał wobec niedźwiedzia, a tenże groźnie stanął na tylnych łapach, Fedor, nie namyślając się długo, wymierzył z pistoletu w same serce i strzelił — ale kula przeszyła mu tylko brzuch. Niedźwiedź więc rozwścieklony szybko kroczył na dwóch łapach ku niemu. Fedor dobył szabli, aby mu czaszkę rozpłatać, ale nim był gotów do cięcia, już olbrzymi niedźwiedź jedném uderzeniem łapy powalił konia jego na ziemię, który zataczając się w bok, upadł i przygniótł sobą lewą nogę Fedora, podczas gdy niedźwiedź przez konia do niego się drapał. W tém rozpaczliwém położeniu nie mogąc uciekać, zebrał Fedor jeszcze raz wszystkie swoje siły młodzieńcze i ciął niedźwiedzia przez głowę, a tymczasem i ojciec Fedora przyskoczył i w łeb mu kulę wpakował. Niedźwiedź przewrócił się, a Fedor został ocalony; chociaż jego lewa noga była w kilku miejscach mocno potłuczona. Z wielką radością nieśli włościanie burego niedźwiedzia wesoło hałasując po przed okna Iwana, ażeby on na swego wroga zabitego popatrzéć się mógł choć przez szyby okna.

»Twoja modlitwa była tym razem bardzo potrzebną Iwanie,« rzekł Fedor, wchodząc niebawem do jego izby, »i Bogu dzięki! pomogła! zostawałem w największém niebezpieczeństwie życia. Ale téż i nie dziw! Takiego potwora, jak ten bury niedźwiedź, jeszcze nigdy nie widziałem. Teraz musisz skosztować kawałeczek soczysty z jego ozora!«

»Pięknie dziękuję,« rzekł Iwan głową kiwając. »Wolisz mi dać skórę z niego, będę miał na czaprak dla swego konia.«

Następnego dnia rozdzielono mięso z burego niedźwiedzia pomiędzy włościan, najlepszych kąsków użyto do uczty, Iwan zaś rzeczywiście dostał skórę, aby pamiętał o swéj przygodzie, jak długo żyć będzie.

IV. Abdalah.

U stóp wzgórza, które należy do pasma gór nazwanego Atlas, we wielkiéj włości zamieszkałéj przez Kabylów, żył El Raman, kmieć niegdyś zamożny, który atoli z przyczyny nieszczęść różnego rodzaju postradał majątek, i z dawniejszego dobrobytu nic mu już nie pozostało, jak tylko Abdala, prześliczny, ognisty koń. Ten nietylko pięknością się odznaczał i dumną postawą, ale i co do siły i szybkości nie miał równego sobie.

Na to pyszne zwiérzę poglądał już od dawna Szejk téj wsi okiem zazdrośném. Nieraz mawiał, że dałby życie swoje za tego konia. Ofiarował El Ramanowi znaczną kwotę pieniędzy za niego, ale El Raman nie chciał się rozłączyć ze swoim koniem, którego czule miłował; on mu bowiem już nieraz życie ocalił, i był do niego przywiązany, jakby przyjaciel najlepszy.

Kabylowie są pierwotnymi mieszkańcami owego kraju, co zajmuje prawie całe północne wybrzeże Afryki i nazywa się Berberyą; w najnowszym czasie zaś wielką część tych ziem, z wyjątkiem Marokku podbili Francuzi i nazwali Algieryą. Kraj, co go zamieszkują Kabylowie, jest górzysty i na południu otacza w półkolu puszczę piasczystą. Tam najwyższe góry nazywają się Atlas, a szczyty ich dochodzą do 12.000 stóp wysokości. Góry te pokryte są pięknymi lasami; liczne strumienie przerzynają kraj w różnych kierunkach i albo płynąc ku północy wléwają się do morza śródziemnego, albo płynąc ku południu, stają się rzékami stepowémi lub tworzą jeziora, albowiem w puszczy nie znalazłyby odpływu. Jak daleko góry sięgają, są grunta uprawiane i po części bardzo urodzajne. W niektórych okolicach bezwodnych, mianowicie w pobliżu puszczy, są stepy nieurodzajne, na których się słone potworzyły jeziora. Klimat kraju jest bardzo łagodny, upał dosięga nieraz 40 stopni Reaumur'a; deszcz, który prawie przez całe lato tam nie pada, zaczyna dopiéro we wrześniu cokolwiek ziemię orzeźwiać. Cztérych pór roku tam nie znają; szczególnie zimy tam niema, a w czasie naszych zimnych miesięcy, najłagodniejsze panuje powietrze. Zato częste trzęsienia ziemi nawiedzają tę krainę, a straszna, zabójcza choroba, co ją zowią mór, wybucha tam

często. W tym kraju żyją wszystkie znane, afrykańskie dzikie i swojskie zwierzęta, z wyjątkiem słoni, krokodylów, nosorożców, koni rzecznych, żyraf i kilku innych gatunków. Szczególnie obfituje ten kraj w najpiękniejsze, najkształtniejsze, najognistsze i najszybsze konie, wielbłądy, osły, owce i bawoły. W górach najrozmaitsza roi się dziczyzna, a po puszczy ugania struś. Wybrzeża są obfite w korale; dzikie pszczoły dostarczają wiele miodu i wosku. Ale szarańcze wyrządzają często wielkie spustoszenia, a po leśnych zaroślach kryją się najzjadliwsze żmije. Zboża, jak pszenicy i żyta mają podostatkiem; udaje się tam także bawełna, wino, oliwa, figi, owoce strączkowe, drzewo korkowe i t. p. jako też roślina do farbowania używana i nazywająca się Henna. W niektórych okolicach znajdują się całe lasy daktelowych palm.

Berberowie i Kabylowie, pierwotny naród kraju, zamieszkują stale górzyste miejsca po wsiach, trudnią się uprawą roli i chowem bydła; prócz tego zajmują się polowaniem na dzikie w górach i lasach żyjące zwierzęta, mianowicie na lwy, pantery i lamparty. Ci mieszkańcy wyznają religię mahometańską, i używają powszechnie mowy arabskiéj. Dzielą się na liczne szczepy, które zostają pod zwierzchnictwem Szejków. Maurowie, naród przybyły do kraju, mieszkają po miastach i trudnią się handlem i przemysłem. Beduini wiodą życie koczujące wewnątrz kraju i mieszkają pod namiotami. Jazda wiérzchem jest największém tych narodów upodobaniem.

»Cóż ty poczniesz, głupi nędzarzu, z tak pięknym, szlachętnym koniem, jeżeli zaledwie jesteś w stanie wyżywić siebie i dzieci swoje?« zapytał się gniewnie Szejk El Ramana, gdy mu w żaden sposób niechciał odstąpić konia swego.

»Jest to jedyna przyjemność, którą jeszcze mam na tym świecie, jedyne mienie moje, co mi smutne osładza życie moje,« odpowiedział El Raman. »Dlaczego mię i tego chcesz pozbawić?!«

Ale dumny, samolubny, namiętny Szejk wcale się o to nie troszczył. Co jego obchodziła przyjemność jakiegoś tam biédaka? Rozłoszczony do najwyższego stopnia oporem, jaki mu stawiał El Raman, a którego się nie spodziéwał, zaczął od tego dnia El Ramana wszelkimi sposobami uciskać i prześladować, i doprowadził w końcu do tego, że koń jego musiał być na publicznéj licytacyi sprzedany. Wierzyciele chętnieby byli czekali, aż El Raman wszystkie długi popłacić będzie mógł, ale obawiali się gniewu i zemsty Szejka. Na licytacyi kazał Szejk dla siebie za bezcen kupić tego konia, bo już naprzód postarał się o to, by nikt się nie odważył, przy tém kupnie wejść mu w drogę.

Ze zbolałém sercem i łzami zalany ucałował El Raman swego ulubionego Abdalę po raz ostatni, gdy go już od niego zabiérano, a koń jakby na pożegnanie zarżał żałośnie, zapewne przeczuwał swój los, bo już w drodze kilkakrotnie jeszcze oglądając się za ubogą chatką El Ramana, rżał ciągle głośno i tęskno.

Skoro to wszystko opowiedziano Szejkowi, posłał tenże El Ramanowi znaczny dar pieniężny, aby się z nim pojednać. Lecz ten go nie przyjął. »Powiédz swemu Panu,« rzekł do służącego, który mu dar przyniósł, »niech sobie zatrzyma



Polowanie na pantery w Algierze. Do powieści „Abdalah.“

swoje pieniądze. Ubogi ma takie samo czucie, jak bogaty. Czego on się względem mnie dopuścił, to mu Allah za to odpłaci i odtąd przekleństwo Jego przylgnie do kopyt mego ulubieńca, skoro tylko twój pan jego dosiędzie!«

Szejk wyśmiał biédaka; a zaledwie ubiegło kilka dni, nikt o tém już ani wspomniał.

Od tego czasu minęło kilka miesięcy, a Szejk jeszcze ani razu nie dosiadał konia El Ramana.

Obecnie zaś postanowił w gronie kilku przyjaciół zapolować na pantery, i na tém polowaniu miał jego nowo nabyty wierzchowiec okazać się w całym blasku.

Pantera jest właściwie tylko cokolwiek mniejszym tygrysem, ale większa niż lampart i tak samo dzika, sroga i łupu chciwa, jak tygrys. Jéj sierść jest barwy żółtéj i ma czarne plamy, które atoli są większe i mniéj regularne, niż u lamparta. Ona wychodzi w nocy na łup i porywa owce, kozy, cielęta, antylopy. Człowieka wprawdzie rzadko kiedy napada; ale gdy jest rozdrażniona, to jest tak straszną, jak tygrys i lampart. Następujące zdarzenie opowiadają o synie maronickiego kapłana na górze Libanon. Tenże wracał jednego wieczora przez zarośla do domu, gdy spostrzegł lamparta, który zamierzał obcesowo skoczyć na niego. Jednakże on go wyprzedził, i ugodził go kulką z fuzyi w same czoło. Ale zaledwie ten padł, gdy drugi lampart wprost pędził na młodzieńca. Ten znowu porwał za nóż, który miał u boku i przebił mu brzuch właśnie, gdy dziki zwiérz rzucając się na niego, już prawie łapami go dotykał. A więc i drugi już był pokonany. Lecz w przestrachu młodzieniec zostawił nóż tkwiący w brzuchu lamparta i pospieszył daléj. Zaledwie ubiegł kilka kroków, gdy nadbiegł trzeci. Ale teraz nie miał on już nic przy sobie, jak tylko nienabitą fuzyę. Z nią stanął do obrony, a to tak, że gdy dziki zwiérz na niego natarł, on mu nią głowę roztrzaskał. Ale téż przez to złamała się jego strzelba i on zostawszy teraz zupełnie bezbronny, dopadł w końcu domu. Rodzice zaraz dostrzegli, że mu się coś okropnego wydarzyło; a gdy im całe zdarzenie opowiedział, poszli na drugi dzień i pościągali skóry z zabitych zwiérząt. Syn zaś położył się do łóżka i za trzy dni umarł w skutek przestrachu.

Mięso z pantery spożywają Murzyni, ale Berberowie takowego nie jedzą; gdyż Mahometanom nie wolno jeść mięsa ze zwiérzęcia kulą zabitego, ponieważ mięso, z którego krew całkiem nie ściekła, uważają za nieczyste. Skórkę zaś cenią wysoko i używają ją do przykrywania się.

Gdy nadszedł dzień do polowania przeznaczony na pantery, Szejk, dobréj myśli, wyjechał konno ze swymi czterema przyjaciółmi. Koń El Ramana kroczył majestatycznie i śmiało, był bowiem najpiękniejszy pomiędzy pięcioma, co wyruszyły na polowanie. Strzelcy, uzbrojeni w długie fuzye i świéżo wyostrzone piki, posuwali się ku gęstemu zaroślu, leżącemu na stokach góry, gdzie właśnie pantery lubiały przebywać. Szejk chełpił się jeszcze w drodze odwagą, siłą i zwinnością wybornego

konia swego. W krótce atoli, skoro tylko naganiacze, któ[illegible]ch strzelcy wzięli ze sobą, narobili hałasu w zaroślu, wypadła pantera z chrościny, gdzie one zwykły czatować na swój łup.

Szejk z nabitym pistoletem wysunął się naprzód i popędził wprost na panterę, podczas gdy jego towarzysze za nim jechali, by zranione a przeto rozjuszone zwiérzę dobić piką lub wystrzałem z długiéj fuzyi. Lecz nim Szejk się spostrzegł, przyskoczyła pantera szybko ku niemu, zapuściła swe pazory głęboko w szyję i pierś spinającego się konia i już go chciała strasznymi zębami chwycić za gardło, gdy Szejk, który tylko z trudnością na koniu utrzymać się zdołał, zachowując przytomność umysłu, przyłożył odważnie pistolet do nosa rozjadłéj pantery, i wypalił jéj w łeb, a ona natychmiast powaliła się na ziemię. Ale w téj chwili wypada druga pantera także w zamiarze rzucenia się na konia Szejka. Obok niego będący towarzysz zmierzył się ze swą długą strzelbą prosto w jéj otwartą, łaknącą paszczę, wystrzelił, ale chybił, ponieważ koń jego był bardzo niespokojny. Trzeci towarzysz był właśnie zajęty dobijaniem piką piérwszéj pantery. Tymczasem rozwścieklona druga pantera, rzuciła się prosto na Szejka, który już teraz nie siedział na koniu; ten bowiém śmiertelnie zraniony w gardło leżał na trawie. Przyskoczyła do leżącego w krzakach Szejka, chwyciła go zębami za plecy i wżarła się głęboko w jego mięśnie, że krew lała się strumieniem. I tylko przy wielkiéj odwadze i śmiałości udało się trzem przyjaciołom Szejka połączonemi siłami ubić rozjuszonego zwiérza.

Koń żył wprawdzie jeszcze, ale na nogi podnieść się niechciał, pomimo że wiele pracy sobie zadawano, by go do tego nakłonić. Krew lała się mocno z głębokiéj rany. Postanowiono więc, zostawić go tam. Przywołani naganiacze zanieśli Szejka w gęstwinę, by mu pozawiązywać rany.

»To jest przekleństwo El Ramana,« westchnął Szejk, głęboko wzruszony. Jedźcie prędko do wsi i powiédźcie mu, niech tu spieszy jak najprędzéj, jeżeli swego Abdalę widzieć pragnie. Ocali on tego konia, to niech nazad zostanie jego własnością. A mnie zanieście do domu; ja już wiérzchem jechać nie mam siły.«

Jeden z towarzyszy popędził prędko do wsi. Drudzy towarzysze wspólnie z naganiaczami zrobili z drewnianych tyczek i z pręcia lektykę, w któréj Szejka zanieśli do domu. Inni znowu zabrali pozabijane pantery.

Za dwie godziny był już El Raman z kilkoma przyjaciółmi na miejscu, gdzie biédny koń jego leżał. Abdala jeszcze żył: zawiązał ulubieńcowi swemu ranę, zakropiwszy ją naprzód gojącym balsamem.

W krótce potém Abdala, poznawszy swego dawnego pana, dał się podnieść na nogi, ruszył bardzo pomału i z największém wysileniem z miejsca i dostał się szczęśliwie do wsi.

Rana ta Abdali była wprawdzie niebezpieczną, ale nie była śmiertelną. Przy najtroskliwszém pielęgnowaniu udało się

El Ramanowi ją zagoić. Zanim upłynęło kilka miesięcy, Abdala stał w stajni rzeski i wesół. El Raman zaś mienił się szczęśliwym, że go znowu posiadał.

Szejk także uczuł to mocno. Już nie był zawziętym na El Ramana. Nawet w sześć miesięcy później, przy radośnéj jakejś sposobności, posłał El Ramanowi znaczny podarunek, który on teraz przyjął z wdzięcznością.

V. Mira i Sakunta.

Syn pewnego indyjskiego magnata lubiał nadzwyczajnie polować na dzikie zwierzęta. Jednego razu zachciało mu się koniecznie zapolować na tygrysy, i tak długo nie miał spokoju, tak długo prosił ojca, aż mu tenże w końcu pozwolił wybrać się z kilkoma ludźmi, z dwoma słoniami i końmi, jakotéż z kilkoma naganiaczami na to polowanie.

»Nie sądź mój synu,« rzekł ojciec, »że słoni także nie można pokonać. Na własne oczy widziałem raz na jedném polowaniu, jak rozjuszony tygrys skoczył z tyłu na słonia; ten zaś, nie mogąc wytrzymać mąk, pochodzących od jego ukąszeń, przewrócił się na ziemię, by tarzając się zgnieść swego wroga. Ale téż przytém i jeźdźców swoich pozrzucał i na śmierć pozagniatał. I na tém skończyło się polowanie. Innym razem widziałem, jak tygrys z drzewa skoczył słoniowi na czoło i odgryzł mu trąbę.«

»To wszystko być może,« odpowiedział młody Indyanin;« ale przecież słoń przewyższa znacznie roztropnością i przezornością swoją tygrysa, nawet i lwa. Jeden z moich przyjaciół ma słonia, nazwiskiem Mira, który tak jest wyuczony, że każdego razu czeka na skok tygrysa. Dopiéro w skoku nagle chwyta go trąbą i nim jak piłką wysoko rzuci w górę, a on drgając i wyjąc spada potém na ziemię i się zabija. Niedawno gdy mój przyjaciel wyprowadził Mirę na polowanie na lwy, zdarzyło się, że jeden ze strzelców zbliżył się nierozważnie zanadto blisko do legowiska lwa. Lew skoczył, powalił strzelca i już go miał w swoich szponach. To się działo pod drzewem. Cóż więc uczynił roztropny Mira? popędził szybko ku niemu, uchwycił drzewo trąbą, i zgiął je ponad ciało leżącego lwa tak gwałtownie ku ziemi, że lew był w jednéj chwili przy-

gnieciony, i wijąc się jak robak wśród straszliwego ryku się udusił. Co większa: na ostatniém polowaniu skoczył tygrys z drzewa Mirze na czoło. Mira zaś nie leniwy, bieży w największym pędzie ku mocnemu drzewu, i dusi tygrysa do pnia, który zmiażdżony pada u nóg jego.«

Indye, gdzie polowanie na tygrysy jest największém upodobaniem magnatów, leżą w południowéj Azyi, których większą część, półwysep nazwany Indyami przedgangiesowémi, już dawno Anglicy podbili. Na północy jest kraj ten przeważnie górzysty, środek jego stanowi niezmierną równinę i na południu są góry poprzeplatane równinami. Na północnéj granicy od Tybetu rozciąga się pasmo najwyższych gór na kuli ziemskiéj zwanych Himalaja, których szczyty do 27.000 stóp wysokości dochodzą. Główną rzéką kraju jest Gangies, strumień święty, w którym Indyanie odbywają swe pobożne umywania a któréj wody za uświęcone uchodzą. Jest tam i druga na 300 mil długa rzéka i nazywa się Indus. W południowych okolicach kraju jest klimat bardzo łagodny, ku północy zaś ostry. Ziemia jest nadzwyczaj urodzajna, wydaje bowiem w obfitości ryż, zboże różnego gatunku, bawełnę, wszelkie rodzaje owoców, ananasy, kokosowe orzechy, daktyle, sago, drzewo hebanowe, szafran, tytoń, krótko mówiąc, że wszystkiego, w co ta bogata ziemia obfituje, wyliczyć niepodobna. Indyanie mają także zwiérzęta domowe, jak: woły, bawoły, konie, osły, owce, kozy a przedewszystkiém słonia, który wprawdzie w lasach dziko żyje, ale téż daje się ułaskawiać i używać w domu jako zwiérzę juczne, niemniéj do polowania i wypraw wojennych. Pomiędzy dzikiémi zwiérzętami tego kraju, a jest ich tam bardzo wiele, najstraszniejszym jest tygrys, który często dochodzi do cztérych stóp wysokości i jest w stanie unieść bawoła. Indyanie są smukłego wzrostu, delikatnych członków, brunatnéj barwy ciała, i używają wszyscy jednéj i téj saméj mowy; są oni łagodnego usposobienia i cierpliwi, pomimo tego nie obcym im jest duch wojowniczy. Zresztą są oni poganami, ubóstwiają nawet zwiérzęta, jak białe słonie i małpy; nie udało się jeszcze ich nawrócić do wiary w jednego Boga. Oni lubią sztuki i umiejętności i są przemyślnym i pracowitym narodem.

Słoń zdaje się wprawdzie być ociężałém zwiérzęciem, lecz jego roztropność, pojętność i łagodność przechodzi wszystko, cokolwiek tylko sobie wyobrazić można z przymiotów ludzkich znajdujących się u zwiérzęcia. On przewyższa w tém nawet najprzebieglejszą małpę, tak zwaną Orangutang. Chociaż ma niezgrabne nogi, jednak chód jego jest lekki i szybki. Przecież były wypadki, że go nawet nauczono tańczyć na linie. Szczególniejszą siłę i zręczność posiada on w swéj trąbie, która właściwie jest jego nosem, ale któréj on używa jako ręki, co nią i drzewa wyrywać i igłę nawlec potrafi. O jego rozwadze pamięci, wspaniałomyślności i wierności opowiadają wiele rozrzewniających przykładów.

Jeden słoń wpadł był w wielką wściekłość, a wszystko, co żyło uciekało przed nim; naraz złagodniał nagle, gdy spostrzegł dziécię ogrodniczki, od którégo dostawał codzień garść jarzyny. Podniósł więc z przymileniem dziécię do góry i posadził je na dachu budy kramarskiéj.

Inny poniósł dziurawy kocioł miedziany swego pana do naprawy; lecz gdy kotlarz źle go naprawił, wrócił nazad i nie ustąpił się z miejsca, póki kocioł nie był dobrze zrobionym.

Trzeci młody słoń, który w bitwie zranionym został w ucho, nie dawał go sobie zawiązać; wtedy matka jego na prośbę dozorcy przytrzymywała go trąbą tak długo, dopokąd mu rany nie zawiązano. Ona to czyniła codzień, aż się rana zagoiła.

Czwarty, któremu dziécię oddano pod dozór, wyciągnął je z kałuży, w którą ono było wpadło, i mył je, ponieważ gliną i błotem było obryzgane, za pomocą swéj trąby, którą wciągał wodę, tak długo, aż go opłukał zupełnie i widział, że jest całkiem czyste.

Mamy także przykłady, że słoń umié się mścić, jeźli go kto dotkliwie obrazi.

Pewien włościanin na wyspie Cejlon, gdzie są największe i najzmyślniejsze słonie, miał zwyczaj częstować liściem figowym jednego z nich, który co wieczora poprzed ławeczką pod jego domem przechodził, gdy go wypuszczano do napoju. Jednego razu włościanin zawinął na żart kamień w liście. Słoń przyjął je wdzięcznie, lecz gdy przy żuciu zębami natrafił na kamień, wyrzucił wszystko. Dozorca obawiając się nieszczęścia, popędził słonia prędko do wody. Z powrotem zaś, gdy włościanin jeszcze ciągle siedział przed domem, zaszedł słoń z boku, i nim biédny człowiek się spostrzegł, porwał go swoją trąbą, rzucił nim o ziemię i rozdeptał na miazgę.

Inny zemścił się w sposób łagodniejszy na takim, co go drażnił. Pewien książę trzymał sobie w parku słonia. Do muru tego parku przytykał mały domek, a w nim mieszkała uboga pani. Ona dawała słoniowi, który codzień do jéj okna przychodził, każdego razu kawałeczek cukru. W jakiś czas potém musiała się ta pani z tego domu wyprowadzić, a sprowadził się tam krawiec. I jego odwiédzał słoń i wsadzał swoję trąbę do jego okna; krawiec zaś ukłuł go w nią igłą. Słoń poszedł; lecz drugiego dnia przyszedł znowu i wsadził swoję trąbę powtórnie w okno. Gdy zaś krawiec i teraz go ukłuć chciał, wylała się cała powódź na niego z taką siłą, że krawiec zleciał ze stołka. Słoń napełnił był naprzód swoję trąbę wodą i wstrzyknął nią silnie na biédaka jakby konewką wody.

Chociaż w Indyach używają słonia do polowania na tygrysy, nie należy go uważać za zwiérzę mięsożérne. W dzikim stanie żyje gromadnie w lasach i żywi się liściem drzew, trawą a niekiedy i ryżem, gdy go dostać może. Wyrządza zatém wielkie spustoszenia w polach ryżowych i innych plantacyach, ponieważ żre bardzo wiele a jeszcze więcéj wydeptuje. Ułaskawionego karmią trawą, sianem, ryżem, zbożem i chlebem. Ztąd utrzymanie słonia kosztuje wiele. Gdyby go kto chciał karmić ryżem, to potrzebuje mu takowego codziennie dać cetnar. Przytém jest słoń smakoszem i lubi dobrze żyć; lubi jeść cukier, a nadewszystko lubi dobre wina, nawet wódkę, stroi się chętnie w piękne przykrycia, lubi pachnące kwiaty; często sobie sam z nich wiązankę uzbiéra, którą potém nosi w pysku. On ma także upodobanie w muzyce. Ale zato jest bardzo pilném

domowém zwiérzęciem i nie robi tak jak ludzie, którzy często dobrze zjeść radzi, ale do pracy nie skorzy. W Indyach przynoszą słonie wszystkie beczki, wory i zwoje z jednego miejsca na drugie, noszą na grzbiecie, na szyi, na długich zębach a nawet i w pysku rozmaite ciężary na sznurze uwiązane. Przytém nie połamią i nie uszkodzą nigdy nic, kładą wszystko ledziutko, podnoszą ostrożnie, porządkują, badają trąbą, czy ciężar dobrze umieszczony, kładą kamienie pod beczki, aby się daléj nie toczyły i t. p. Krótko mówiąc, słoń jest wszelkiego przywiązania godném zwiérzęciem i różni się zupełnie od obrzydłego, strasznego tygrysa, na którego polowanie go używają.

Albowiem tygrys jest najsroższém i najbardziéj krwi chciwém zwiérzęciem drapieżném. Nietylko z głodu, ale z przyczyny natury swojéj dzikiéj napada i dusi zwiérzęta; on pożéra nawet swoje własne młode a człowieka tak mało się obawia, że wpada często w środek całego grona strzelców. On jest większy niż lew. Spojrzenie jego jest srogie i pochmurne, a język jego czerwony jak krew i kolczasty wisi mu najczęściéj z pyska. W złości marszczy skórę na przedniéj części głowy i wygląda wtenczas jeszcze sroższym. Nawet kiedy jest spokojnym, wygląda jak złoczyńca. Największe zwiérzęta boją się go, nawet sam słoń; gdyż tygrysowi zawsze o to chodzi, aby mu odgryźć trąbę, wtedy słoń jest zgubiony. Tygrys ma żółtawo-brunatną skórę z regularnymi czarniawymi pręgami, pod spodem jest biały, a na ogonie jego także są czarne pierścienie. Zęby ma ostre a w łapach taką siłę, że konia i bawoła jedném uderzeniem zabija. Gąszcz w lasach albo trzcina przy brzegach rzék są zwykłe miejsca, gdzie on czyha na swoję zdobycz. Czasami jakieś niezwykłe zjawisko może go nastraszyć. W kraju nazwanym Bengalem siedziało raz dość liczne towarzystwo nad rzéką. Niepostrzeżenie zakradł się tam tygrys. Jedna panienka ujrzała go, gdy właśnie się składał do zabójczego skoku na któregoś z panów będących w towarzystwie. Ona otworzyła prędko parasol i nastawiła do niego. Tygrys tak się tego nastraszył, iż czemprędzéj uciekł. Trudny jest do zabicia, jeżeli go się kulą nie ugodzi w części ciała najbardziéj miękkie. Skórka jego jest wybornem, prześliczném przykryciem; mięso zaś jego ma odrażającą woń. Indyanie polują na tygrysa zwykle na słoniach, ponieważ konie go się obawiają i jakąś nieopisaną mają do niego odrazę.

Ojciec więc zezwolił chociaż niechętnie, a syn poczyniwszy potrzebne przygotowania wyruszył odważnie na polowanie.

W dzień oznaczony wyszukano w lesie miejsce, o którém wiedziano, że tam się kręcą tygrysy. Ażeby w nocy żaden z nich uciec nie zdołał, pozapalano do koła miejsca tego ognie i porozstawiano czaty.

Drugiego dnia, skoro tylko zeszło słońce, nadjechał młody książę ze swą żoną, kilkoma strzelcami, a był z nim także przyjaciel jego. Młody książę jechał na słoniu Mira a jego przyjaciel na słoniu Sakunta. Słonie były pięknie poubierane i miały kosztowne przykrycia. Skoro się ustawili na brzegu lasu, weszli strzelcy uzbrojeni krótkimi mieczami w las. Na nieszczęście przyłączył się do nich i przyjaciel młodego księcia; będąc śmiałym i odważnym młodzieńcem, chciał się przypatrzéć



Polowanie na tygrysy w Azyi. Do powieści „Mira i Sakunta“.

wściekłéj rozpaczy tygrysów. Naganiacze narobili bębnami i kotłami tyle hałasu w lesie, że tygrysy powypadały na wszystkie strony. Lecz wszędzie przywitano ich strzałami, bo wszędzie stali strzelcy; tylko jeden wolny przesmyk był im pozostawiony, a to w tém miejscu, gdzie słonie stały i na nich czekały. Kilka tygrysów zastrzelono, inne powyskakiwały na drzewa, tylko największy nie dał się z lasu wypędzić. Wtedy kazał młody książę zapalić trawę w lesie. Stało się to natychmiast, a za kilka chwil buchnęła sucha trawa jasnym płomieniem. To skutkowało. Ze straszliwym rykiem w wielkich susach wypadł z płomieni olbrzymi tygrys. Wściekłość jego doszła do najwyższego stopnia. Przyjaciel młodego księcia za drzewem na brzegu lasu oczekiwał dzikiego zwiérzęcia, aby go ułowić swym kordelasem; ale ta zapamiętałość na złe mu wyszła. Tygrys ominął śmiertelne pchnięcie, rzucił się na młodzieńca i powalił go na ziemię. Skoro to Mira przestraszony zobaczył, przypadł natychmiast, podczas gdy tygrys młodzieńca wziął pod swe łapy i przebił mu grzbiet swoim zębem tak, że tygrys wił się rycząc straszliwie, tymczasem przypadł drugi strzelec i przebił mu piką szyję.

Śmiały młodzieniec musiał to życiem przepłacić; bo jeszcze we walce śmiertelnéj zadusił go dziki tygrys łapami. Mira spisał się wprawdzie, ale smutny był długi czas i niechciał nic jeść, bo utracił swego pana, którego tak miłował. Młody książę zaś kupił Mirę i odbył na nim jeszcze niejedno polowanie na tygrysy.

VI. Zapamiętały Wiliam.

Płynąc okrętem z wschodnich Indyj — gdzieśmy się przypatrywali polowaniu na tygrysy — ku południo-zachodowi, dopłynęlibyśmy do górzystego cyplu zwanym: Przylądkiem dobréj nadziei.

Kraj ten leży na południowéj kończynie Afryki. Najwyższe na wybrzeżu morskiém leżące góry zowią się: góra stołowa, góra czartowa i góra lwia. Niziny a szczególnie wybrzeża są bardzo urodzajne. Pomiędzy licznémi rzékami kraju, największe są: rzéka słoniowa i rzéka zwana rybią. Tam nie jest tak bardzo gorąco, jak sobie to niektórzy błędnie wyobrażają, gdyż kraj ten nie leży już w strefie gorącéj; jednak zimy tam niéma, tylko od maja aż do września trwa burzliwy czas słotny. W ogóle klimat jest łagodny. Winogrona rosną tam dziko a wino tego kraju jest wysoko cenione. Wszystkie

rodzaje europejskich owoców i zbóż udają się wybornie, tylko śliwom tam za ciepło. Palmy, mianowicie trzcina bambusowa, jakoteż drzewo chlebowe należą do krajowych roślin. Błonia i lasy jaśnieją pysznymi kwiatami, lecz pomiędzy niémi są także rośliny jadowite. Z dzikich zwiérząt przebywają tam stale: słonie, lwy, tygrysy, pantery, hyeny, szakale, żebry, wilki, żyrafy, kozice, bawoły, małpy, strusie, flamingo, żółwie, węże i zwiérzę bardzo osobliwe, okryte skórą pancerną, nosorożec. Jako domowe zwiérzęta są tu woły, owce, konie, i osły. Na wybrzeżach łowią wieloryby. Mieszkańcy kraju są bardzo rozmaitego pochodzenia, jako to Holandczycy, Anglicy, Niemcy, Murzyni, Hotentoci. Holandczycy już od roku 1660 zaludnili pierwsi ten kraj, dlatego posiadają oni tam największą liczbę osad. Od roku 1814 należy ten kraj do Anglików i odtąd osiedliło się tam także wiele angielskich osadników. Dawni mięszkańcy kraju są Hotentoci, barwy brunatnéj, chodzą prawie nago; jednakże nie są niewolnikami, tylko po największéj części w służbie u osadników. Niektórzy z nich mają także własne posiadłości; a wszyscy prawie wyznają religię chrześciańską. Z czasem potworzyły się z tego narodu rozmaite szczepy; jedne z nich uprawiają rolę, inne wiodą życie koczujące i trudnią się chowem bydła. Jedni z nich są silni i pięknego wzrostu, inni gnuśni i skarłowaciali z przyczyny ubóstwa. Jedni z nich są wykształceni, zgodliwi i przyjacielscy; inni są rozbójniczego ducha, nieokrzesani i okrutni. Hotentoci zamieszkują głównie zachodnią stronę kraju; na wschodniéj mieszkają Kafrowie, należący do rasy murzynów. Kafrowie są niezwykłego wzrostu i niezwykłéj siły; są odważni i sprytni, lecz przytém ich powierzchowność jest imponująca i pełna godności. Tylko kobiéty nie rozwijają się cieleśnie tak pięknie, bo muszą ciągle i ciężko pracować. Kafrowie mają albo brunatną barwę ciała albo czarną i przytém połyskującą; włos ich jest czarny wełnisty, czoło wysokie, głowa pięknie ukształcona, grube wargi i rzadki zarost brody. Mowa ich jest dźwięczna. Największa część z nich nie ma żadnéj religii; nie mają wprawdzie ani wyobrażenia o najwyższéj istocie; ale téż nie mają bożków ani kapłanów i nie składają ofiar. Są oni nawpół nomadami i żywią się mlékiem i mięsem ze swoich trzód; do tego trudnią się także uprawą roli, lecz pracę około niéj pozostawiają całkowicie kobiétom.

Główne miasto tego kraju przylądkowego tak nazwane Kapsztadt (miasto przylądkowe) jest piękne, regularne i zbudowane całkiem na sposób europejski. Ono rozciąga się malowniczo nad odnogą Przylądku dobréj nadziei. Wewnątrz więc tego kraju przylądkowego, najczęściej w bagnistych okolicach rad przybywa nosorożec. To zwiérzę, które się także i w Azyi szczególniéj w kraju zwanym Siam znachodzi, ma swoję nazwę od rogu na nosie, który u innych rodzajów niekiedy jest podwójny. Ten róg jest 2 do 4 stóp długi i cokolwiek w tył zakrzywiony, lecz nie jest z kością nosową zrośnięty tylko z wiérzchu na skórze osadzony. Tym rogiem broni się od napadów dzikich zwiérząt. On umié go także bardzo zręcznie użyć, gdyż w jednéj chwili rozedrze nim brzuch nieprzyjacielowi i wyrwie wnętrzności. Głowa jego podobna do olbrzymiéj głowy wieprza; tak samo kwiczy i tak samo w błocie tarzać się lubi jak wieprz. Oprócz rogu najosobliwsza jest

jego skóra, koloru popielatego, przeszło na cal gruba a przeto niezmiernie twarda; ona przyléga na jego ciale jak pancerz i jest tak dostatnia, że w niektórych miejscach się fałduje, i na kilka cali jedna skóra na drugą zachodzi. Z natury swojéj jest to zwiérzę spokojne, gnuśne i głupie, żyje tylko w nieprzystępnych bagnistych okolicach, żywi się roślinami jak słoń i nikomu nic zlego nie robi, jeżeli mu się tylko z drogi ustąpi. Z wszystkiémi innémi zwiérzętami żyje także chętnie w zgodzie, jeźli one mu tylko spokój dadzą. Gdy go się zaczepi, to wpada w wściekłość i staje się bardzo niebezpiecznym. Najmniejszy szmer rozdrażni go, a wtedy wypada z gęstwiny i pustoszy i niszczy wszystko, co tylko w drodze spotka; czasem tak w tém dzikiém usposobieniu będzie biegać i godzinami. Polowanie na niego jest bardzo niebezpieczne, ponieważ ma nader delikatny węch i ostry słuch, a skóra jego jest tak twarda i gruba, że tylko na brzuchu może być zranionym; przytém bieg jego jest bardzo szybki.

Mięso jego jedzą we wschodnich Indyach, a skórę, zęby i rogi używają jako lekarstwo. Jeżeliby kto chciał zrobić sobie tarczę któréjby przebić nie można, to niema na to nic lepszego, jak skóra nosorożca; robią z niéj nawet laski do podpiérania.

Jak trudne jest polowanie na niego, można widzieć z następującego zdarzenia:

Dwóch Anglików mieszkało w pobliżu stawu, usłyszeli jednego razu głośne kwiczenie a przytém pluskanie w stawie. Podsunęli się ostrożnie i dostrzegli, jak nosorożec tarzał się z prawdziwém upodobaniem w błocie na płytkiém miejscu. Postanowili więc zapolować na to zwiérzę. Następnego dnia wyszukali mocne drzewo stojące na brzegu stawu, kazali sobie pomiędzy gałęziami tego drzewa zbudować małą altankę, pozabiérali wieczorem ze sobą fuzye ponabijane, powłazili do altanki i czekali na zwiérzę. Gdy już minęło kilka godzin nocy, a tylko gwiazdy błyszczały na niebie, usłyszeli wkońcu już zniecierpliwieni strzelcy jakieś trzaskanie w gęstwinie, wkrótce nadszedł istotnie kwiczący nosorożec. Obaj strzelcy zmierzyli się, wystrzelili i istotnie ugodzili zwiérzę. Lecz ono tylko się wzdrygnęło, jak gdyby go kilka komarów ukąsiło i stanęło spokojnie. Strzelcy nabili fuzye drugi raz; powtórnie padło dwa strzały, i znowu zwiérzę było trafione. Wtedy tylko obróciło się pomału i odeszło. Jednakże za dziesięć minut znowu przyszło. Niestrudzeni myśliwi strzelali jeszcze dwakroć, zawszę go trafiali, ale to znaczyło u nosorożca tyle, jak gdyby kto piaskiem rzucał na niego. Rozgniewało to mocno jednego z Anglików, a ponieważ człowiek w złości nigdy nic mądrego nie uczyni, tak więc i Anglik popełnił niedorzeczność a potém za to ciérpiał. Nabił bowiem broń mocniéj niż przedtém, wystrzelił znowu, lecz biada mu! zamocny nabój rozsadził broń i oderwał mu dwa palce u lewéj ręki. To sprawiło, że przez dwa miesiące dali spokój polowaniu na nosorożca. Gdy zaś ręka się zgoiła, chciał koniecznie uparty Anglik, niechby kosztowało co chciało, spolować owego nosorożca. Osadził przy pniu owego drzewa dwa działa sześciofuntowe, nabił je wieczorem z pomocą swego krajana i obaj oczekiwali zwiérzęcia, gotowi każdéj chwili do wypalenia z dział.

Zamiast oczekiwanego nosorożca wyskoczył z zarośla tygrys; zaczął krążyć około drzewa na którym dostrzegł strzelców i rzucał ku nim iskrzące spojrzenie, dając wyraźnie do poznania, że ma wielką chęć wyléźć do nich. Obaj strzelili do niego ze zwykłéj broni palnéj i on uciekł. Niemal w godzinę potém nadszedł istotnie nosorożec. Prędko zeskoczył jeden z nich na dół i z zapalonym lontem stanął przy działach. Nosorożec dreptał daléj, nic nie przeczuwając. Anglik wypalił i w saméj rzeczy trafiła go kula działowa. Zakwiczał straszliwie, i z nieopisaną wściekłością podskoczył do góry, szarpał rogiem ziemię, że ogromne kamienie latały jak trzaski, z ostatniém wysileniem przypadł do drzewa, ale powalił się na ziemię obok dział. W jego grubéj skórze znaleziono wiele kul, które po części doszły były aż do mięsa. Jednę znaleziono nawet w żołądku zwiérzęcia.

Pewien bardzo śmiały strzelec w kraju przylądkowym w południowéj Afryce, mieszkał w miejscowości zwanéj Cwalendam u stóp czarnych gór. Nazywał się Wiliam i miał ztąd wielką sławę, że uchodził za jednego z najodważniejszych myśliwców na dzikie zwiérzęta. Był on niedawno w mieście przylądkowém nazwanym Kapsztadt i dostał polecenie, dostarczyć jak najpiękniejszego rogu z nosorożca, za który miał otrzymać wysoką cenę. Potrzebował go jakiś indyjski książę, i do tego żądał, by to się stało jak najprędzéj. Indyjscy książęta mają ten przesąd, że kubek zrobiony z rogu nosorożca chroni od utrucia. Oni mniemają że napój, który jest w takim kubku, zacznie zaraz mocno fermentować i całkiem z kubka wybiegnie, jeżeli tylko zatruty. Ów książę indyjski nie żył w zgodzie ze swym sąsiadem i obawiał się otrucia. Dlatego polecił swoim sługom w mieście Kapsztadt, aby mu się wystarali największego i najpiękniejszego rógu nosorożca, jakiby tylko dostać mogli. Z tak pięknéj sposobności korzystał Wiliam. Udał się więc w znane mu gąszcze na zwiady i odkrył za kilka dni miejsce, gdzie przebywał olbrzymi nosorożec.

Wkrótce połączył się ze swymi towarzyszami wypraw myśliwskich, mianowicie z jednym sąsiednim Holandczykiem, który miał wielkie upodobanie w polowaniu, i z jego synem; do tego przybrał sobie jednego z najśmielszych niewolników Holandczyka i dwóch odważnych a do polowania zaprawionych Hotentotów, którzy już nieraz z nim najniebezpieczniejsze polowania odbywali; a byli obaj olbrzymiego wzrostu. Wiliam sam dosiadł tęgiego konia, którego mu Holandczyk odstąpił na to polowanie. Osadnik, jego syn i niewolnik byli uzbrojeni w broń palną; a Wiliam prócz tego miał przy sobie nóż obosieczny.

W dniu oznaczonym wyruszyli więc na polowanie; dzień miał się już ku schyłkowi, właśnie zachodziło słońce. Hotentoci szli naprzód, za nimi szedł syn Holandczyka z niewolnikiem, a na ostatku jechali obaj strzelcy.

Gdy przybyli do lasu, ustawili się w rząd. Wiliam stał najpierwszy i był gotów przyjąć nosorożca z konia, chcąc mu ze swéj dubeltówki przez oczy strzelić w mózg. Tuż za nim stał Holandczyk ze swoim synem, którzy także w oczy celować



Polowanie na nosorożce na przylądku dobrej nadziei. Do powieści „zapamiętały William.“